Nr. 23. We Lwowie dnia 6. czerwca 1897. Rok 5.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Religja, filozofja i socjologja

we wzajemnym stosunku do siebie.

Bardzo wielu bierze religję i teologję za jedno i, widząc jak znaczenie tej ostatniej, niegdyś naczelnej umiejętności, coraz bardziej się zmniejsza w miarę postępowego rozwoju wiedzy, jest tego zdania, że oświecone społeczeństwa nie będą potrzebowały żadnej religji, albowiem wiedza ją całkiem zastąpi.

Wszelako teologja i religja należą do dwóch różnych kategorij. Lessing już zaznaczył różnicę pomiędzy pierwszą, która jest umiejętnością, a więc należy do dziedziny umysłowej, i drugą, która właściwie jest sprawą uczucia; Henryk Saint-Simon różnicę tę dokładnie uwydatnił; Schoppenhauer zaś udowadniał, że buddyzm, który liczy 300 miljonów wyznawców, jest w gruncie rzeczy ateistycznym, jak również takiemi są obie panujące w Chinach religje: Taossee i Konfucjusza.

Czemże więc jest właściwie religja, i jaki jest jej stosunek do wiedzy, której najwyższem uogólnieniem jest filozofja?

Psychologja naucza, że w życiu podmiotowem (duchowem) człowieka są dwa różne szeregi zjawisk: uczuciowe i umysłowe. Możemy śledzić rozwój onych od form pierwiastkowych: wzruszenia i wyobrażenia, aż do form najwyższych: moralności i wiedzy.

Uczucia formują się wcześniej, aniżeli myśli. Uwydatnia to cały świat żyjący. W człowieku, jakkolwiek strona umysłowa jest już silnie rozwinięta, to jednak uczucia przeważają nad myślami, nadając kierunek jego woli, albowiem połączone z uczuciem pragnienie jest silniejsze od tego, jakie wzbudza myśl. Herbert Spencer wbrew Comte'owi utrzymuje nawet, że opinja publiczna określa się raczej przez uczucia, aniżeli przez wyrozumowane przekonania.

Z tego już, co powiedziałem, wypada, że moralność, która wyrasta z gruntu uczuć, jest przeważnie tem spoidłem, które utrzymuje w całości organizm społeczny. Ta potrzeba zachowania społeczeństwa w całości odczuwa się jako dobro powszechne i przejawia się w dążeniu ku przystosowaniu się wzajemnemu, ku pewnej zgodności, ku harmonijnemu istnieniu. Wytwarza się w ten sposób pomiędzy członkami społeczeństwa zmysł moralności, instynktowne odczuwanie tego, co wzmacnia, a co osłabia tę spójnię społeczną. Maudsley uważa zbrodniarzy nałogowych, jako idjotów moralnych. Buckle, biorąc w uwagę same tylko wyrozumowane zasady moralności, mylnie ocenił dziejowe onej znaczenie. Postęp moralny wprawdzie nie jest tak widoczny, jak umysłowy, ale niemniej przeto wielki, i on to głównie daje miarę wyższego uspołecznienia.

Wychowanie dziecka ma na celu nie tylko kształcenie czynności umysłowych i nagromadzenie zasobu wiadomości, ale w jeszcze większej mierze kształcenie uczuć i wpojenie pewnych stałych zasad. Skutkiem jednak tego, że szkoła zajmuje się głównie kształceniem umysłowem, pedagogika umysłowa w ostatnich czasach staranniej była opracowana od pedagogiki moralnej i lepiej odpowiada, aniżeli ta ostatnia, nowoczesnym warunkom i potrzebom. Nauczanie moralności — jak to wykazali pozytywiści, a zwłaszcza August Comte i Bartłomiej Enfantin — zostało przez kościół katolicki ujęte w całość systematyczną i do wysokiego stopnia udoskonalone. I dzisiaj jeszcze

szkołom katolickim trzeba przyznać wyższość w tym względzie nad innemi *), chociaż skuteczność nauczania moralnego jest mocno w nich osłabiona przez to, że w wielu punktach staje w sprzeczności z nowoczesnemi dążeniami społeczeństwa.

W dziedzinie umysłowej chodzi o poznanie prawdy; w dziedzinie moralnej — o odczucie dobra. Do poznania prawdy prowadzi wiedza i najwyższe uogólnienie onej, filozofja; do odczucia dobra dopomaga nabyte wiekami doświadczenie w stosunkach wzajemnych ludzi między sobą, uzewnętrznione w pewnych prawidłach życiowych, obyczajach **), i „duchowna rękojmia moralności“ — jak się wyraża Hoene-Wroński — religja, która jest uświęconym i powszechnie obowiązującym kodeksem tego, co się uważa w danym czasie za najwyższe dobro.

Filozofja, dążąc do poznania prawdy, bada, roztrząsa, ocenia: jej cechą nieustanna krytyka. Niema prawdy, o którejby ona nie mogła wątpić. Wyniki, do których ona dochodzi są zawsze tylko względne, czasowe, uznawane jedynie dla tego, że w danej chwili przedstawiają się jako najodpowiedniejsze. Jest ona uwieńczeniem wiedzy i może być nauczana wówczas tylko, kiedy umysł jest dostatecznie dojrzały i posiada pewny systematycznie ułożony zasób wiadomości naukowych.

Krytyka jest ważnym i koniecznym warunkiem postępu naukowego, ale w życiu, w stosunkach wzajemnych pomiędzy ludźmi potrzebna jest przedewszystkiem wiara, podstawa wzajemnego zaufania. Wychowanie początkowe dziecka, ciągłość życia narodowego, układy społeczne, narodowe i międzynarodowe opierają się na wierze. Powszechnie wiadomo, jak ważnym bodźcem do spełnienia czynu, połączonego z wielkim wysiłkiem, jest wiara w jego sprawiedliwość lub konieczność. Wiara jest podstawą, fundamentem religji, która jest najważniejszem wiązadłem społecznem. Bazard w swoich wykładach zwrócił na to uwagę, że sam wyraz religja pochodzi od religare — wiązać.

Jaki jest wzajemny stosunek filozofji i religji do siebie, i czy filozofja zdoła zastąpić religję?

Im niższa jest oświata, im uboższy zasób umysłowy, im słabsze zdolności myślenia, tem przewaga uczuć jest większa; im nieudolniejsza jest krytyka, tem działanie wiary jest bardziej nieograniczone. I. Surowiecki miał zupełną słuszność, że „religja przez długie wieki była jedynym kodeksem filozofji, praw i moralności“.

Najpotężniejszem uczuciem na pierwszych szczeblach rozwojowych jak strach przed wszystkiem, co jest nieznane, niezwykłe, strach wypływający z obawy o własne życie. Petronjusz trafnie odgadł, że

---

*) Wprawdzie pojawiają się usiłowania reformacyjne na tem polu. Takim był zakład wychowawczy w Campinie, kierowany przez Robina ale reakcyjne ministerstwo francuskie usunęło Robina i spaczyło zaprowadzony tam system wychowania.

**) Same wyrazy: obyczajność, moralność (mores), etyka (ethe) wskazują na ścisłą łączność, moralność z obyczajami.

Krzywą drożyną.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Gdy uszli już kawałek drogi, istotnie jasnej jak w dzień biały, zebrała się na odpowiedź i rzekła półgłosem:

— A Tereska? Są ludzie, co powiadają, że jej czasem ot byle za co od ciebie się dostało!

— Tereska! daj Panie wieczny jej spokój, — warjatka była! panować jej się chciało, a nad dziećmi się trzęsła, jak niby one szklane były. Jam jej jednakże nic złego nie zrobił, Bóg widzi. Ot takem tylko czasem trochę... pouczył... jak to zwyczajnie mąż żonę...

— O tem to mi nie gadaj! — zawołała kobieta, żywo tknięta. — Wiem ci ja dobrze, jak to ty uczysz „zwyczajnie“, kiedy ci się ze łba kurzy! Poznały boki moje twoją naukę. Gorzko biednej Teresce nieraz być musiało!

— Milcz, babo! — krzyknął nad uchem jej małżonek — tobie się boki nie złamią! A ot ludzie bajać poczęli, żeś ty prawdziwą macochą dla pasierzbów swoich, że takiej okrutnej w okolicy niema. A jak dalej tak będzie, to ci pokażę! zawszeć to krew moja! zawszeć ojcem ich jestem!... Toż to smarkacze jeszcze — jeden dopiero czwarty rok począł, a drugie ledwie chodzić zaczyna! Toż nieraz tak ich okładasz, że aż z pola usłyszę! Tamta chciała z nich zrobić hrabiątka — ta znowu gorzej, jak szczenięta je poniewiera! Tfu, z temi głupiemi babami! Nigdy miary nie znają!

Splunął i jeszcze szybciej szedł naprzód, aż kobieta biegła już za nim prawie, trwożnie się obzierając i nieznacznie się przeżegnawszy. Zdyszana, wtrąciła już znacznie ciszej i nieśmielej:

— A ja im też nic złego nie robię, Bóg widzi. I nakarmię, i opiorę, a jak uczyłabym i swoje rodzone, tak i te uczę dobrego. Sam przecież powiadasz, że nieboszczka, świeć Panie nad jej duszą, na nic je rozpieściła. Toć muszę złe naprawić!

Primus in orbe deos fecit timor

Odpowiadało to w zupełności rozpoczynającemu się procesowi myślenia, które na pierwszych szczeblach musi być konkretne i odbywa się obrazami, a nie opanowane jeszcze całkowicie przez ucznia, upatruje w świecie otaczającym odwzorowanie onych, skutkiem czego wszystko uosabia i ożywia.

Pierwszy światopogląd, jaki powstał w umysłach ludzkich, musiał być mitologiczny czyli teologiczny. Podług tego poglądu każde zjawisko jest czynnością jakiejś istoty. Jedne z tych istot są widzialne, drugie niewidzialne.

W jaki sposób mogły się ukształtować pierwsze pojęcia o istotach niewidzialnych, przedstawia z wielką logicznością i obfitością faktów Herbet Spencer w swojej socjologji. Istoty te, będące w poczuciu i przekonaniu człowieka potężniejsze od widzialnych, musiały wziąść stanowczą nad niemi przewagę, i w ten sposób powstał niewidzialny świat bogów i duchów, panujący nad światem widzialnym.

W miarę jednak rozwoju zdolności umysłowych i powiększającego się zasobu spostrzeżeń i doświadczeń, które jedne pokolenia przekazywały drugim, kształtowała się wiedza, która zbierała poznane fakty i usiłowała je w sposób rozumowy powiązać w pewną całość. Wyrabiająca się przytem czynność krytyczna była zanadto jeszcze słaba, ażeby mogła zachwiać ustaloną wiarę w nieomylność poglądu teologicznego, i przez długi czas ograniczała się na usuwaniu sprzeczności w szczegółach, na coraz większem rozgraniczaniu świata przyrodzonego od nadprzyrodzonego i na coraz większem zwężaniu pola działania tego ostatniego świata. W mistrzowski sposób przedstawił to August Comte.

Kiedy jednak wielkie zdobycze naukowe zaostrzyły dostatecznie krytyczną czynność umysłowości ludzkiej, powstały w niej wątpliwości i co do samej istoty poglądu teologicznego. Rozpoczął się więc zatarg pomiędzy religją, która broniła tego poglądu, jako swego dzieła, i nauką, która rozbijając wszystkie podstawy onego, czyniła dalsze jego panowanie niemożliwem. Powtarza to wielekroć Hoene—Wroński, i chcąc teologów zjednać dla poglądów metafizycznych, zapewnia, że „religja jawnie nie jest czem innem jak metafizyką, a nawet metafizyką najwznioślejszą“.

Usiłowania metafizyki nie osiągnęły skutku. Nauka ostrzem krytyki rozdarła wzorzystą tkaninę jej mamideł. Wiedza wysunęła się ostatecznie z pod skrzydeł teologiczno-metafizycznego poglądu i wytworzyła własną filozfję — pozytywną.

Herbert Spencer mniema, że przez wykreślenie stałej granicy pomiędzy religją i wiedzą można przywrócić zgodę pomiędzy niemi. Wiedza — podług niego — badając wszystkie dostępne umysłowi zjawiska, dochodzi wreszcie do pewnej granicy, której przekroczyć nie może. Powszechnie odczuwamy, że jest jakaś istność, z której wszystko się wyłania; wiedza jednak przedmiotowa dowodzi, że istność ta nie może być tem, co my o niej myślimy, a wiedza podmiotowa wykazuje, dla czego nie możemy ją pomyśleć taką, jaką ona jest. Cho-

---

Zamilkli oboje, gdyż rozpoczęło się już nizkie ogrodzenie cmentarne. Teraz zwolnili kroku i obejrzeli się dokoła.

— Jeszcze nie nadeszła z domu nauczycielka — szepnęła cicho kobieta.

— To nic, i bez niej poszukamy — odparł jej mąż.

I chociaż zostawał jeszcze spory kawałek do furtki, schylili głowy i jęli się wpatrywać w cielisty szlak drożyny, jak niby gęsto zahaftowany matowo-błyszczącemi opalami, tak drobne krzemienie skrzyły się w świetle księżyca. Wreszcie się zwolna zbliżyli i zatrzymali przy furtce.

Chłop się wyprostował i ręką wskazał żonie po za nizkie ogrodzenie.

— Otóż i mogiła Tereski — wymówił, żegnając się zamaszyście i szeroko — wystawiłem jej ten piękny krzyż czarny. Pacierz zmówić należy.

Uklękli i cicho pacierz mówili. Kobieta, choć jeszcze nieco trwożna i drżąca, poczęła się uspokajać za przykładem męża i pod wrażeniem głębokiej ciszy i wielkiej jasności. A pacierz skończywszy, pochylili się do samej ziemi i ostrożnie poczęli rozgrzebywać i przebierać drobne kamyki i żwir tuż, obok bramy cmentarnej.

III.

Zdyszana, bez tchu i mocy prawie, Hala dopadła do mogiły i przytaiła się u stóp dość wysokiego wzgórka pod krzyżem Tereski, tak, że od strony furtki nie było można jej dostrzedz. Przez krótką chwilę łowiła oddech ustami, aż nieco pierś jej i drżące nogi spoczęły.

Potem szeroko rozwartemi oczami powiodła dokoła.

Księżyc tej nocy jak niby obmył i odmłodził kawałek ten ziemi, zmarszczonej i zrytej ostremi bruzdami mogił, jakby twarz stuletniego starca. Grunt twardy i suchy nie dopuszczał tu żadnej bujniejszej roślinności — i gdzie niegdzie tylko sterczało parę drzew samotnych. Zdawały się one w księżycu jakby zlepione z wielkich piór pawich niebiesko-złoto-seladynowych, tak mocne światło, z góry bijące

ciaż rozum nie ma możności jej poznania, to jednak wiara w nią jest powszechna. Przedstawia się ona jako potęga niepojęta, o której mówimy, że jest wszechobecna, albowiem nie jesteśmy zdolni wyobrazić, jakieby mogły być onej granice. Pojęcie o tej istności — zdaniem Spencera — stanowi podstawę religji.

Rozgraniczenie to, mające na oku dogmatyczną tylko stronę religji, obniża jej znaczenie. Nie dogmaty stanowią główną istotę onej, ale te uczucia, które nadają życiu człowieka człowieczość, podnoszą go ponad poziom pragnień cielesnych życia codziennego i czynią go gotowym do ofiar i poświęceń. Jak przedmiotem filozofji są pojęcia najwięcej uogólnione, tak przedmiotem religji — rzec można — są uczucia najwyżej podniesione. Można odrzucać wszelką dogmatykę religijną, a jednak być religijnym. Czyniono nieraz to spostrzeżenie, zastanawiając się nad życiem niektórych wyznawców materjalizmu i ateizmu, chociaż doktryny te są także swego rodzaju dogmatyką. Religja w stosunku do uczuć jest tem, czem filozofja jest w stosunku do wiedzy. Z tego li już tylko względu filozofja nie może zastąpić religji, jak to niektórzy mniemają. Lecz i inne są ważne względy. To, co ma obowiązywać, musi mieć niezależną od naszego sądu powagę, musi wypłynąć z wewnętrznego poczucia.

(Dok. nast.). *Bolesław Limanowski.*



ŁUCJAN DESCARES.

WYGNANIEC.

Z francuskiego.



Pierwszego października ubiegłego roku pewien nieznajomy zjawił się u mnie w mieszkaniu i w słowach pełnych wzruszenia i zażenowania prosił mię o kilka chwil poufnej rozmowy. Przystałem na jego prośbę i wskazawszy krzesło, obejrzałem go od stóp do głowy. Był to mężczyzna w wieku lat czterdziestu, wzrostu średniego, mocno zbudowany. Od pierwszego rzutu oka podobał mi się wyraz twarzy szczery i pełen ufności.

— Oto — zaczął nieznajomy z pomieszaniem — przedewszystkiem jestem pańskim sąsiadem... Synek pański bawi się razem z mojemi dziećmi w ogrodzie... Wiem, że pan pracuje w pismach: czytałem pańskie artykuły... Wszystko to ośmiela mię zwrócić się do pana... Ach, to straszny cios! Jeżeli się jeszcze zdołam podnieść po nim, będzie to wielkie szczęście... Nie wiem, co pan może zrobić dla mnie — może nic?... Lecz mi się zdaje, że samo wypowiedzenie się, sprawi mi ulgę... Więc... jeśli pan pozwoli?...

— Ależ naturalnie. O co chodzi? — Duże spracowane ręce nieznajomego międy kurczowo kapelusz, który trzymał na kolanach.

— Jestem panie wygnańcem. Dano mi czterdzieści ośm godzin na opuszczenie Paryża i Francji...

---

kapryśnie je malowało, wciskając w puszyste ich kędziory srebrno-błękitne promienie swoje. Każda mogiła z tkwiącym w niej krzyżem i każde drzewo zimne i sztywne w bezwietrznej ciszy, niby do osobnego gatunku cmentarnych drzew-upiorów należące, rzucały wydłużone cienie jakiejś kirowej i aksamitnej czarności na jasne tło ziemi, księżycem posrebrzonej. Jakby olbrzymia kapa żałobna przykryła zimne ciała tu śpiące. Opodal bielała wśród paru ciemnych topoli, niby strach legendarny, stara kaplica o wysokim dachu spiczastym na familijnym grobie byłych dziedziców wioski.

— Sen straszny na jawie — myślała Hala — otoczenie ze strasznej bajki!... Ach Boże, Boże! przyjdą też oni, czy nie przyjdą? Żebyż to przychodzili jak najprędzej, bo mocy mi nie stanie... Och, żebyż to się raz już wreszcie skończyło!... Przyjdą też oni — czy nie przyjdą?!...

I jęła drżącemi dłońmi zrzucać z siebie płaszczyk, okrywający ją całą, a z włosów śpiesznie wyjmować krępujące je szpilki.

I oto suknia powłoczysta i biała szerokiemi fałdami spłynęła jej do dołu, a warkocz trysnął na ramiona lśniącemi, hebanowemi falami. Na tle tych pysznych warkoczy, jak niby w ciszy głęboko czarnej, rzeźbiła się jej postać śnieżna, lekka i smukła, jak by się rwąca ku górze.

Czyniąc przygotowania, dreszczem zimnym cała przejęta, oczy swe co chwila przenosiła na drogę, a nie widząc na niej dotąd nikogo, poczęła się lękać coraz bardziej, że nie przyjdą wcale. Coraz mocniej też serce jej uderzało, a krew wzburzoną falą poczęła wzbierać ku szyi, policzkom i głowie.

Znowu przyklękła, przerażonym wzrokiem tocząc dokoła.

(Dok. nast.). *Janina Baudouin de Courtenay.*



— Więc pan nie jest Francuzem!

— Nie, panie, pochodzę z Polski, ale od lat dziesięciu już mieszkam w Paryżu, tum się ożenił, tu przyszły na świat moje dzieci, a od roku 1890 pracuję stale w jednej fabryce.

— Dlaczegoż więc skazano pana na wygnanie?

— Ponieważ car zamierza przyjechać do Francji.

— Ależ panie — odparłem z żywością — żartuje pan. Ja się pytam pana o istotne powody wygnania: zapewne pan się zajmował polityką?

— Nie, nie mam na to czasu. Wychodzę z domu o wpół do siódmej rano, i wracam o wpół do ósmej wieczorem. Gazetę czytam podczas jedzenia, a po wieczerzy pomagam swemu chłopakowi w odrobieniu zadań lub uczę czytać swą pięcioletnią córeczkę. W niedzielę wychodzimy na przechadzkę, podczas której, malec zarzuca mię pytaniami. Raz tylko byłem tu na jednem publicznem zebraniu. Nazajutrz potem wypytywano się o mnie z policji. Było to dla mnie ostrzeżenie... Chciałbym żeby mię pan zrozumiał: oczywiście, że mam swoje przekonania, lecz ich przed nikim nie wygłaszam, bo dla nas milczenie — to chleb.

Z zaciśniętych ust nieznajomego podały te nieco poplątane, lecz szczere wyznania. Z dźwięku wyrazów, jak z dźwięku złota, poznać było można, że ma się do czynienia z rzetelną, a nie fałszywą monetą. Pytałem go jednak dalej.

— Ależ ostatecznie nie wyrzuca się ludzi ot tak, bez powodów.

— W istocie — odparł nieznajomy — nie dałem się też pokonać bez walki. Po otrzymaniu wyroku udałem się natychmiast do komisarza policji, który mi powiedział: „Ach, ja, łaskawy panie, nic nie wiem — niech się pan zwróci do prefektury“. W prefekturze odsyłano mię z wydziału do wydziału. Wreszcie przyjął mię jakiś ważny urzędnik. Ten już znał moją sprawę i podczas rozmowy przerzucał arkusze jakichś aktów. Rozpoczął od tego, że mi przypomniał o udziale mego ojca w powstaniu 1863 roku i o tem, żem odziedziczył po ojcu, jako zresztą jedyny spadek, te same aspiracje, które mnie w końcu zmusiły do opuszczenia kraju, wobec represji rządu, grożących mi wygnaniem. Jest to prawda. Byłem młody, nie znałem jeszcze wówczas wartości milczenia i rozwagi. Trwoniłem więc dziedzictwo aspiracji ojcowskich w nieoględnej paplaninie... Obecnie umiem się z niem obchodzić lepiej. „Jesteś pan odludkiem“ mówił do mnie ów urzędnik, udając bardzo przenikliwego. „Istotnie, odpowiedziałem, jeżeli pan rozumie przez to, że żyję skromnie z żoną i dziećmi“. — Jednak niegdyś uczęszczałeś pan na zebrania publiczne“, dodał urzędnik, „niech pan nic nie zaprzecza, bo mamy tu w aktach dowody namacalne (tu urzędnik uśmiechnął się, zadowolony z własnego dowcipu). Jesteś pan posądzony o zamiar nieprzyjaznej manifestacji podczas pobytu cara w Paryżu. Udajesz pan zdziwienie, na które byłem z góry przygotowany. Ale mam nadzieję, że ten oto liścik przywoła pana do porządku“. To mówiąc, dygnitarz podsunął mi list, zawierający oczywiście bezimienną denuncjację. „Jakto, zawołałem, pan daje wiarę temu oskarżeniu!“ — „Oczywiście, kochany panie, zwłaszcza, gdy mamy w ręku tego rodzaju dowód, potwierdzający nasze własne podejrzenia“. Tutaj urzędnik dał mi do zrozumienia, że uważa audjencję za skończoną. Zabrałem się do wyjścia, czując dobrze, że na nic się nie zdadzą dalsze protesta. Dygnitarz zawołał jeszcze za mną: „A niech pan pamięta o tem, że ma do rozporządzenia jeszcze czterdzieści ośm godzin, niech pan nie zmusza nas do użycia środków stanowczych“.

— Prawdziwie zawstydza mię pan — rzekłem do nieznajomego — jakiż to nędznik mógł napisać ten list bezimienny? Czy ma pan co do tego jakie wskazówki? Może pan ma nieprzyjaciół?

Nieznajomy smutnie potrząsł głową.

— O tak, panie, nawet wielu: wszystkich tych, którym nigdy nic nie zawiniłem. Wszakże jestem podwójnie podejrzaną osobistością: po pierwsze, jako obcokrajowiec, powtóre zaś, jako dozorca robotników. Staram się, co prawda, być jak najsprawiedliwszym względem ludzi, pracujących pod mem zwierzchnictwem, ale ludzie nie są dobrzy... Jest to błąd wierzyć w dobroć ludzi: za dużo na to mają niedostatków. Ciężkie warunki egzystencji zabijają w nich wszelką szlachetność. Robotnik, mający, czworo dzieci do wyżywienia, nie może mi darować, że ja, będąc mniej obarczony rodziną, mam większą od niego pensję. Zazdrości mi posady i władzy, którą pogardza tylko wtedy, gdy ja nią jestem obdarzony. Jest to codzienna walka o kilka groszy, lecz groszy niezbędnych, niestety, nie dla zbytku, lecz dla opędzenia pierwszych potrzeb. Mój denuncjator należy może właśnie do tej kategorji zazdrośnych z nędzy... Może jest więcej godzien pożałowania, niż pogardy?...

To nie oparte na niczem przypuszczenie sprawiło mi przykrość, czego nie zdołałem ukryć.

— Jakto, więc pan uważasz, że któryś z pańskich kolegów jest zdolny do takiej infamji?

— Tak, panie, jest to możliwe. Czy wie pan, co mi zarzucali gwałtowniejsi z nich w dysputach? To, żem z obcego kraju przyszedł tu jeść chleb Francuzów! Nic nie pomogło, żem opowiedział im o swem wygnaniu, że gdzieś przecie musiałem szukać chleba — od-

powiadali mi zawsze niewzruszonym argumentem: „Gdybyś pan tutaj odbył powinność wojskową, wówczas miałbyś prawo gadać!“ Ach panie, nie mamy się co chwalić owocami, które wydało wychowanie ludu! Toż trzeba by je z gruntu, od A do Z przerobić... Kto wie, czy nie złagodzono by niechęci, chociażbym nawet dopuścił się kradzieży lub zabójstwa, gdybym tylko był dopełnił warunku służby wojskowej... Cóż więc dziwnego, że teraz zechciano mię się pozbyć, korzystając ze sposobności? Zresztą być może, że niesłusznie posądzam towarzyszy pracy. Zło, o którem mówię, zapuściło korzenie szerzej i głębiej. Żona moja, również cudzoziemka, jest w naszej dzielnicy przedmiotem tych samych podejrzeń, tej samej głuchej i złośliwej niechęci. Wyśmiewają się z jej cudzoziemskiego akcentu, a sąsiedzi przez ignorancję lub złą wolę podają ją za Niemkę, ażeby tem bardziej rozjątrzyć przeciwko nam opinję... Powtarzam panu, że społeczeństwo jest to jakby obszerna klatka, zapełniona przez wrogie sobie zwierzęta, które się gryzą wzajemnie po przez rozdzielające je przegrody...

— Cóż pan zamierza teraz robić ze sobą? spytałem.

— Jutro wyjeżdżam do Belgji szukać pracy. Dzieci i żonę zawezwę do siebie, jak tylko coś znajdę. Ale nim to nastąpi, czułbym się bardzo szczęśliwym, gdyby pan zechciał udzielić im swej rady i opieki, jeśli to będzie potrzebne. Obawiam się, że po moim wyjeździe cała niechęć otoczenia spadnie na nich.

— Będę rad służył im swą pomocą — odpowiedziałem, dodając wszakże, że obawy te uważam za przesadzone.

Ale nieznajomy potrząsł głową.

— Nie zna pan moich sąsiadów. Nie oszczędzą oni kobiecie przykrości, z chwilą kiedy będą pewni, że to im ujdzie bezkarnie.

Nagle hałas z ulicy przerwał naszą rozmowę. Wyjrzałem przez okno i spostrzegłem dwóch pijaków, którzy idąc pod rękę i zataczając się na mury, śpiewali ochrypłym głosem zwrotkę M a r s y l j a n k i:

Lud każdy dla nas jest bratem,
Jest bra-a-tem, jest bra a-tem,
A każdy tyran jest wrogiem...

Spojrzeliśmy na siebie... W oku nieznajomego błysnął i zgasł jakiś płomyczek.

— Czy nie uważa pan — wyszepnął, że ta zwrotka była by bliższą rzeczywistości, gdyby w niej przestawić wyrazy w odwrotnem znaczeniu?



O satyrach Włodzimierza Wysockiego

(szkic literacki)

przez J. Aleksotę.



(Dokończenie).

W dalszych satyrach uderza na celibat, nazywając go matką rozpusty. Wogóle wypowiada prawdy jedyne a ostre, takie, które mogą, a nawet bardzo kłuć w oczy. W porównaniach jest łatwy i swobodny. Weźmy np. co mówi:

Jak to niejeden z poetów topił wzrok w lazurze,
Na którym gwiazdy mrugały najmilej,
A wśród tych błaźnic zalotnego grona,
Lśnił żółty księżyc, jak skrawek melona.

W zbiorku satyr, o którym mowa, jest jeszcze kilka opowiadań na temat dobroci wołyńskiej „co je kluski z serem“ —oraz bicz na wychowanie dawniejsze dziewcząt, kiedy to im w trzecim roku życia zakręcano loczki i uczono przed lustrem, jakie mają robić minki — kazano robić ładnie „*reverence*“, ładnie grać gamy, szukać, czy łowić męża. Opisuje jak dawniejszego wychowania dziewczyna wyglądała: „Bufiasto, strzępiasto i śmiesznie, cudacko, pusta i wietrzna jak motyl, płocha, twarz zaś jak u lalki bez treści. Ćma wstążek i kokardek otacza jej postać — i żal poecie, że ona jest n a s z ą, nie c u d z ą, i pyta, czy choć raz na jej czole spoczęła myśl poważna, czy patrząc w zwierciadło, zapytała kiedykolwiek siebie, czem jest i jaką gra w świecie rolę. I pyta dalej z goryczą: „Czy znane ci smutki, pragnienia i bole, co pierś społeczeństwa dziś gniotą? A w końcu uważając ją jedynie za podnietę zmysłów, ubolewa nad tem, iż się stała wyrodkiem sarmatek. Niech się czytelnicy, czytelniczki zwłaszcza, nie oburzają na satyryka — był może surowy w sądach — ale pisał na podstawie realnej, widział, spotykał, bolało go to, goryczy pełną przestrogę położył na kartach swego dzieła.

Wiedział on o tem, że lekarstwa bywają często bardzo gorzkie i do połknięcia trudne i z niebywałą odwagą smagał zło, zakorzenione w społeczeństwie, a które satyryk radby przepędzić za siódmą rzekę, wedle słów bajki, w której także celował Wysocki, zwłaszcza jeśli chodziło o morał jędrny, rozumnie i z prostotą wypowiedziany.

Pozostał jeszcze w tece poety niedrukowany poemat pn. „F i g i e l J o a s i“. Należy się jednak spodziewać, że jedyny i wyłączny dzieł zmarłego poety nakładca, p. Bolesław Koreywa, zechce w rychłym czasie zaznajomić

szerszą publiczność z poematem śp. Wysockiego i ogłosi go drukiem.

Ostatnią pracą drukowaną Wysockiego były dwie legendy pod wspólnym tytułem: Bocian. Tytuł uzasadnia się tem, że w obydwu legendach mądry i mieszający się do interesów ludzi „bociek“ staje się raz pośrednikiem miłości dwojga młodych, a drugi raz mścicielem młodych, pokrzywdzonych sierot. Dwa te obrazki poetyczne, zawierają dużo refleksji głębokich, a przytem oświetla je blask słoneczny prawdziwej poetyczności.

Kiedy n. p. bohater pierwszej legendy, zagnany wypadkami hasłem i piosenki: „Marsz, marsz Dąbrowski“— staje pod piramidą Cheopsa w Egipcie, widok tego kolosu, budzi w nim rozpamiętywanie, jakie to nieprzeliczone tłumy ludu musiały pracować nad tą bezużyteczną budową martwego olbrzyma.

„Głupi tyranie — woła poeta, przywołując na pamięć Cheopsa —

Ileż zużyłeś ich krwi, potu, siły,
Zanim z Libanu krainy dalekiej
Na zgiętych karkach przywlekli te bryły,
Wśród których miałeś zamieszkać na wieki

myśląc, że ciebie stąd nikt nie ruszy, tymczasem dziś Kopta lub Fellah, nie pytając coś ty zacz, bierze twoją mumję i roznieca z niej ognisko i gotuje sobie przy niem wieczerzę. Piramida twoja stoi chyba poto, by błędna gawiedź otwierała usta, „a mędrzec bolał nad twoją głupotą“. W dalszym ciągu rozmyślań nazywa oną piramidę „pomnikiem z łez i krwi“. Druga legenda, nader wdzięczna, o nastroju głęboko lirycznym, ale liryzm to nie wykwintny, wyszukany, jeno ten pełen smętku i dumania, sięgającego aż do jądra każdego ziarna, wyłuszczonego ze złotego kłosu żytniego. W ogóle dumania ludu na punkcie zagłębiań się schodzą się z badawczą pracą mędrca — z tą tylko różnicą, że uczony rozum badacza naznacza granice swym badaniom i ujmuje pracę swą w klasyfikację, zaś lud granic nie zna i „sięga tam, gdzie wzrok nie sięga“ — swą fantazją. Tych dumań ludowych pełną jest legenda druga. . Weźmy dla przykładu, taki wdzięczny obrazek, jak ten, kiedy pozbawione dachu nad głową sierotki siedzą przytulone do siebie pod stropem niebios — jedno śpi, a jedno patrzy na gwiazdy i mleczną drogę i opowiada:

A w poprzek lśniła jasno mleczna droga,
Na którą patrzę półsenny i myślę:
Tą drogą chodzą sierotki do Boga,
Kiedyż on po nas aniołków swych przyśle.

I takich rzewnych scen jest kilka.

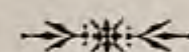
Wszędzie przebija niepospolity talent poety, który jest nie samym tylko rymotwórcą, ale prawdziwie poetą z „Bożej łaski“ — a przytem zawsze i wszędzie nieskazitelnego charakteru człowiekiem i synem swej ojczyzny. Takim był w swych dziełach i takim w życiu swem acz niedługiem.

Oby dzieła jego znalazły jak najwięcej czytelników, którzyby go nie połowicznie zrozumieli, ale aż do dna jego myśli szczerej, rozumnej, zacnej i szybującej pełnym lotem ku ukazującemu się rąbkowi świtania lepszej ery, zdrowszych czasów, szczęśniejszej przyszłości.



EDGAR ALLAN POE.

ULALUME.



Chmura niebo mroczyła surowa
I od liści powiędłych szedł szmer —
Od gałęzi powiędłych szedł szmer...
Była niema noc październikowa,
Najstraszniejsza z mego życia er...
Był to Aubr, który we mgle się chowa,
I wilgotny, pomroczny las Weir;
Aubr — jezioro, co w mroku się chowa,
I od wiedźm opętany las Weir...

Tam to niegdyś szeroką aleją
Śród cyprysów z swą duszą sierocą —
Ze swą Psyche błądziłem sierocą,
W dniach, gdy w sercu płomienie goreją,
Jak te ognie, co z wirem i mocą,
Jak te lawy, co wiecznie a z mocą,
Aż na Janik siarczyście się leją
Pod biegunów lodowych północą —
Pod tych królestw lodowych północą.

Słowa myśl nam mroczyła surowa
I od marzeń zdrętwiałych szedł szmer —
I od wspomnień zdradzieckich szedł szmer:
Bom nie wiedział, że październikowa
Była noc — ach! najstraszniejsza z er,
Noc śród nocy najstraszniejszej z er —
Żę to Aubr, który we mgle się chowa
(Choć-em błądził ongi śród tych sfer),
Aubr — jezioro, co w mroku się chowa,
I od wiedźm opętany las Weir.

A gdy noc opuszczała niebiosa,
Kompas gwiazd zapowiadał już ranek,
Jako gwiazda, co wróży poranek,

Kres nam drogi rozjaśnia z ukosa
Blade światło zza lasu firanek...
I cudowna, srebrzysta lśni kosa,
Róg podwójny — róg dawnych sielanek —
Djamentowa Astarty lśni kosa,
Róg widomy, róg greckich sielanek.

„Ona — rzekłem — świetniejsza od Djany,
Ona krąży po westchnień eterze,
Ona włada we wspomnień eterze,
Ona wie, że wciąż niewypłakany
Ból, gdzie robak na twarzy łez strzeże
I nad gwiazd się uniosła rydwany,
By nam w niebie zgotować wieczerzę.
Letejskiego pokoju wieczerzę.
Uleciała nad złote rydwany,
Aby ziemskie oświecać rubieże!
Uleciała nad jasne rydwany,
Aby ziemskie weselić rubieże.“

Lecz uległa nieznanej mi sile,
Wzniósłszy palec do góry: „Nie wierzę!—
Tak mię Psyche mistycznie ostrzeże —
Słuchaj, smutnie tej gwieździe nie wierzę,
Ach, bladości jej dziwnie nie wierzę!
Śpiesz! zbyt długie zostajesz tu chwile,
Śpiesz — uchodźmy! Zaklinam cię szczerze.“
W bólu mówi i skrzydeł swych pierze
Spuszcza w dół, aż sunęły się w pyle,
W zgrozie mówi — i białe swe pierze
Spuszcza w dół, aż tarzały się w pyle,
Aż rozpacznie tarzały się w pyle.

„Siostro — rzekłem — to nic, urojenie!
Płyńmy, płyńmy w ten srebny blask dalej,
W kryształowy ten blask idźmy dalej:
Sybilińskich to świateł natchnienie,
Co Nadzieją i Pięknem się pali —
Na błękicie tej nocy się pali...
Z wiarą idźmy w te jasne promienie,
Zaufajmy świetlanej tej fali.
Śmiało dążmy w te czyste promienie,
Szczęście ku nam wybłyśnie z tej fali,
Co na niebie, drżąc, jasno się pali...“

Tak mą Psyche cieszyłem nadzieją.
By ją wyrwać z ponurych tych dum
I z ponurych wyrwałem ją dum —
I na kres szliśmy dalej aleją,
A na kresie alei był tum...
Jakiś napis na drzwiach nosił tum:
„Jakież głoski tu, siostro, jaśnieją,
Jaki napis na drzwiach nosi tum?“
Rzekła mi: „Ulalume — Ulalume —
To umarłej twej grób Ulalume!“

Jękła pierś ma żałobą surowa,
Jako liści powiędłych ten szmer,
Jak zeschniętych gałęzi ten szmer,
I krzyknąłem; „Ach, październikowa
Noc to była — najstraszniejsza z er
W roku zeszłym, najstraszniejsza z er,
Kiedym błądził, błądził śród tych sfer —
I przyniosłem tu czerwiom na żer
Straszny ciężar — aż pęka mi głowa —
W noc śród nocy najstraszniejszej z er...
Jakiż demon wiódł mię do tych sfer?
Znam ja Aubr, który we mgle się chowa
I wilgotny, pomroczny las Weir —
Aubr — jezioro, co w mroku się chowa
I od wiedźm opętany las Weir!“

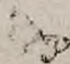
Z angielskiego przełożył
A. Lange.



Błędy językowe.

27. *Na wszelki sposób* jest niemczyzną (auf jede Weise), której używają w Galicji zamiast *w każdym razie*, *ze wszech miar*, *tak czy owak* itp.

28. *Zastępca* znaczy prawie to, co *namiestnik*, ten co czyjeś miejsce zastępuje; powodując się dosłownem tłumaczeniem wyrazu niemieckiego *Vertreter*, który znaczy 1) zastępca 2) reprezentant, przedstawiciel, niektórzy używają wyrazów *zastępca*, *zastępstwo*, *zastępować* zamiast przedstawiciel, przedstawicielstwo, przedstawiać, albo reprezentant, reprezentacja, reprezentować.



Wiadomości bibljograficzne.

Jankowski Czesław. Powiat oszmiański, materjały do dziejów ziemi i ludzi, część II. Petersburg, K. Grendyszyński, Kraków, Gebethner i Sp., druk. Anczyca i Sp., 1897, w 4ce, str VI, 285 i 8, z ilustracjami, tablicami i nutami.

Parczewski A. J. Szczątki kaszubskie w prowincji pomorskiej, szkic historyczno-etnograficzny (Odbit. z XXII Rocznika Towarzystwa przyj. nauk poznańskiego, pośw. pamięci matki Aleksandry Barbary z Bajerów Parczewskiej). Poznań, druk. Dziennika pozn., 1896, w 8ce, str. 124 i 2 nl., z kartą kaszubskich powiatów prowincji pomorskiej.

Piekosiński Fr. dr. Kilka uwag o denarach Bolesława Chrobrego (Odbitka z Wiadomości numizm.-archel.). Kraków, druk. Anczyca i Sp., 1897, w 8ce, str. 19, z rycinami w tekscie

Zakrzewski Winc. Adolf Pawiński, 1840—1896, zarys dziejów żywota i pracy. Petersburg, nakł. K. Grendyszyńskiego, druk. Czasu w Krakowie, 1897, w 8ce, str. 1 nl i 124, z portretem.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie